

tów i elementów gospodarczych Narodowego Planu Gospodarczego, odnoszących się do Ziemi Odzyskanych.

W ramach ogólnopolskiego planu winien zarysować się zgodny z nim, ale i wewnętrznie logiczny i zharmonizowany plan gospodarczy Ziemi Odzyskanych. Wytworzenie takiego planu winno być przede wszystkim zadaniem Ministerstwa Ziemi Odzyskanych — przewiduje to zresztą wyraźnie dekret o zarządzie Ziemiemi Odzyskanymi.

Roman Łyczewek

NIENAWIŚĆ DO POLSKI W HITLEROWSKICH PODRĘCZNIKACH SZKOLNYCH

Hitleryzm walczył z nami orężem i słowem, poznaliśmy metody tej walki, odczuliśmy jej skutki, nie dość jednak spenetrowaliśmy kryjóWKi, z których padały pociski. Odsłaniając to natrafiamy nie tylko na olbrzymi arsenał gotowej już broni, ale i na przygotowania wskazujące, że czekała nas walka do ostatniej chwili istnienia. Już zawczasu ćwiczone do niej nowych, jeszcze bardziej fanatycznych rekrutów. Młodzieży niemieckiej wszczepiano absolutną nienawiść do wszystkiego, co nie niemieckie, a w pierwszym rzędzie do nas. Zdanie takie można tak długo uważać za grubą przesadę, dopóki nie zajrzy się za kulisy hitlerowskiej szkoły. Sąd o niej wydadę nie na podstawie plotek ani relacji już opublikowanych, lecz opieram go na gruntownie zbadanych podręcznikach. Zioną one nienawiścią właściwie wyłącznie do nas, napaści zaś na resztę narodów i państw pojawiają się tylko sporadycznie, nie stoją w żadnym stosunku do ataków skierowanych przeciwko nam i wydają się wobec nich nawet błahę. Począwszy od 1939 r. szkoła hitlerowska toczy z nami wojnę totalną, bije w nas przy każdej sposobności, co więcej, sztucznie tę sposobność stwarza, chciałoby się powiedzieć dla rekreacji uczniów, znużonych często suchym tematem lekcji.

Czytanka

Zacznę od lokalnego kuriozum wielkopolskiego. W organizowaniu poznańskiego szkolnictwa okupancj pobili re-

kord szybkości, bo już w 1939 r. wydali elementarz pt. „Fibel für den Reichsgau Wartheland“, z obrazkiem Zamku na okładce i führera umizgającego się do gromadki dzieci na pierwszej stronie wewnętrznej. Siedmioletniemu sztubakowi, który ledwie przyswoił sobie znajomość liter, podsuwa się opowiadanie (rzekomo ojca) o straszliwej niedoli, jaką Niemcy znosili w swej „ojczyźnie“ nad Wartą, „zagrabionej“ przez Polskę po pokoju wersalskim: „Źle się nam powodziło. Nie mieliśmy już mówić po niemiecku. Dzieci musiały chodzić do polskich szkół. Mieliśmy zapomnieć o Niemczech i stać się Polakami. Mimo to (!) rozmawialiśmy w domu po niemiecku“. Perfidne jest zwłaszcza ostatnie zdanie, podsuwające dziecku myśl, jakobyśmy zabraniali Niemcom używania własnego języka, choć tego grubego kłamstwa wręcz się nie wypowiada. Słowa „mimo to“ można sobie tak lub owak tłumaczyć. Na tym nie koniec. Pocziwy tatuś pokrywa swym autorytetem dalsze kalumnie: Wybucha nowa wojna, polscy żołnierze ograbili wieś (oczywiście niemiecką), zabrali „ostatnią krowę, ostatnie kartofle, ostatnie siano“. Zjawili się Niemcy - oswobodziciele, „mogłem znów spokojnie pracować w polu a matka w domu“, — chwala niech będzie za to führerowi. Starszemu pokoleniu, pamiętajacemu czasy niewoli, przypominają się słodkie powiastki o dobrym cesarzu, żywcem teraz przenie-

sione na dobrego pana nowych Niemiec. Mniejsza jednak o sam wędrowny motyw sentymentalnej blagi na temat czulego serca władcy. Autor powiastkę popelnia w swym zaślepieniu nielada gafę: w okresie niemieckiej kampanii czyli na początku września chłop wielkopolski nie mógł mieć „ostatnich kartofli“ w domu, bo spożywały one wtedy jeszcze w ziemi!

Czytanka dla następnych klas biją w nas już z armat grubszego kalibru. Weźmy np. „Deutsches Lesebuch für Volksschulen“, tom drugi (czyli druga klasa) nakładem E. Bruhnsa w Poznaniu i F. Hirtha we Wrocławiu, bez roku wydania. Poziom niby obliczony na dziecko. Sypią się więc jak z roku obfitości baśnie związane z Warthelandem, z górą św. Anny, Jeziorem Góreckim itp., pełne tradycyjnego elementu baśniowego. Są tu powiastki o niemieckim człowieku, występującym na tej ziemi oczywiście w „zwykłej“ swojej roli „kulturträgera“, któremu przypisuje się m. in. (wbrew znanym faktom historycznym) zaprowadzenie uprawy ziemniaków, zastosowanie węgla, wynalezienie lampy naftowej itd. Wierszokletka jakaś wynurza swą miłość do „ubogiej“ ojczyzny nad piaszczystymi brzegami Warty, skąd Greiser według swej poufnej relacji (Tag der Freiheit, 1943, vertraulich) wywiózł w ciągu przedostatniego roku swych rządów 1,3 miliona metrów sześciennych drzewa i 330 „specjalnych“ pociągów ziemniaków.

Jedynie potwory na tej „ubogiej“, choć poza tym idyllicznej ziemi, to Polacy. Sprowokowali wojnę, wprowadzili polski tłum w szale rzucił się na bezbronnych, „przekleństwa pełne nienawiści przesywały powietrze“, żołnierze polscy źle traktowali wprowadzonych, których w końcu zabito; jeszcze „w momencie śmierci doznał nienawiści i okrucieństw ze strony chciwych

mordu dręczycieli“. Ckliwy epizod o bohaterskim uczniu, który do ostatniej chwili mimo własnego wyczerpania opiekował się swoją nauczycielką i razem z nią zginął, krasi opowieść o bezecznych Polakach. Nie kończy się ona oczywiście żadnym morałem, autor dobrze wie, że młodzież nie lubi nauk, ale wie też dobrze, że sugestywna opowieść zrobi swoje.

Nie można tu wyliczać wszystkich insynuacji, jakich pełno w czytankach, zwłaszcza wydanych przez księgarnię Hirtha we Wrocławiu. Przejdźmy więc do innego działu, do historii.

Podręczniki historii

Nasze tereny są oczywiście pranie-mieckie, bo przez nie przeszli i na nich przejściowo osiedli Gotowie i Wandalowie wraz z innymi germańskimi szczepami. Gdyby argument ten miał być miarodajnym, cała niemal Europa musiałaby uchodzić za kraj niemiecki. A jednak Niemcy nie wahali się przed gruntowaniem tych oczywistych nonsensów w umysłach młodzieży.

Sugerowało się też uczniom, że nasze miasta średniowieczne nie przyjęły tylko kolonistów niemieckich, lecz przez nich zostały założone (np. Kraków, Poznań), że im wszystko zawdzięczają. Interpretuje się zasługi Fryderyka II wobec Wielkopolski i Pomorza jako dobrodziejstwa, wyświadczone Polakom, podczas gdy król ten kierował się w swych czynach wyłącznie chłodną racją stanu. Dowodem tego choćby wydana za czasów greiserowskich oficjalna broszura pt. „Wir und die Polen. Was jeder Einheitsführer vom Zusammenleben der Deutschen und Polen aus der Geschichte unseres Gaus wissen muss. Sonderausgabe des Führerdienstes Gebiet Wartheland, 1943“. Czytamy tu: „Celem (Fryderyka II) było uzyskanie potrzebnego lądowego pomostu między Brandenburgią a Prusami (Wschodnimi)“. Na nowozdobytą ziemię posłał

4 Przegląd Zachodni

ten król „wiele tysięcy rodzin z wszystkich prowincji państwa, bo zamierzały pierwotnie emigrować do Ameryki i Indii“. Chodziło więc Fryderykowi o zachowanie cennego materiału ludzkiego, dla którego trzeba było osuszać bagna i użyźniać glebę. A więc młodzieży opowiadało się bajeczki, którymi jednak nie miało się odwagi karmić nawet ślepo we wszystko wierzących „Einheitsführerów“. Mniej tu zresztą chodziło o gloryfikowanie starego Fryca, daleko więcej o wykazanie niewdzięczności Polaków, którzy nie doceniali wyświadczonych im dobrodziejstw.

A czasy najnowsze? Honor żołnierza niemieckiego, który — jak wiadomo — zgoła niedopisywał w wielkopolskim powstaniu, próbuje ratować Gehl („Deutsche Geschichte in Stichworten, 1940) rzewną historyjką: „Niemiecki pułk grenadierów wyparto w walkach ulicznych po jego powrocie do Poznania i wygłodzono w koszarach“. Że w takich sytuacjach dzielne armie czy nawet pułki zawsze próbowały wypadów, o tym chyba niemiecka młodzież wiedziała z historii i najnowszych „berichtów“ wojennych. Łatwiej jeszcze mogła się przekonać na podstawie używanego przez nią atlasu historycznego Putzgera, że Polska nie stała się „dzięki Piłsudskiemu większą, niż była w roku 1772“ (Gehl, str. 202). Tumaniono bez skrupułów młodzież także sloganem o narodzie niemieckim pozbawionym przestrzeni życiowej, gdy tymczasem mogła ona wyczytać z popularnego tomiku w zbiorze Göschena wprost przeciwne zdanie sędziwego historyka Johannesa Hallera. Sąd jego odnosi się wprawdzie do wędrowek Germanów, ale jest tak uogólniony, że robi wrażenie protestu przeciw najnowszemu stosunkom: „Nie wzrastające pogłowie narodów jest przyczyną tych wędrowek całych narodów — w naturalnych formach życia nie ma przyrostu ludności, dlatego nie ma „narodu bez przestrze-

ni“ — lecz (przyczyną jest) wewnętrzny i zewnętrzny niepokój, chęć walki, łupieskie wyprawy, wojny graniczne i zdobycze“. („Eintritt der Germanen in die Geschichte“, 1944, str. 24).

Podręczniki geografii

Przejdźmy do geografii. Odkąd w głowach hitlerowskich przywódców wyległa się teza o wyższości rasy nordyckiej i jej twórczych siłach, różniesionych od zarania dziejów po całym świecie, wszystkie kraje o wyższej kulturze stały się dłużnikami nordyków. Indywidualne zasługi narodów maleją do minimum, a nasze są zerem. Przywędrowaliśmy wraz z innymi Słowianami skądś ze wschodu na tereny, opróżnione w pierwszych wiekach pochrystusowych przez germańskie szczepy. Nasze zdolności organizacyjne były jednak nikle, dopiero późniejsi osadnicy niemieccy istotnie umieli obchodzić się z ziemią i jej bogactwem, mają nawet udział w budowie kopalni wielickich (Seydlitzsche Erdkunde, część V, 1942, str. 82). Dalsze nasze istnienie zawdzięczamy tylko ówczesnej słabości Rzeszy. Skutkiem niezgody w jej obrębie nie skolonizowano do reszty terenów między Wisłą a Moldawą, przeciętych trzema pasmami niemieckich osadników. („Seydlitzsche Erdkunde“, część VIII, 1941, str. 22). Naturalnie jesteśmy narodem mocno pomieszanym z Niemcami. Liczba ich rośnie w ostatnich statystykach jak na drożdżach. Leksykon Meyera z 1928 r. ocenił Niemców w Polsce na 1.059,194 głów, Ludwik Simon w swym szkolnym podręczniku „Deutschland“ z 1939 r. mówi jeszcze o „przeszło“ milionie, ale Hopff-Willecke („Deutsche Sprachkunde für Mittelschulen“, zeszyt V, 1940, str. 104) biada już, że skutkiem traktatu wersalskiego dwa i pół miliona Niemców doznawało polskiej przemocy.

Z chwilą hitlerowskiego zwycięstwa Polska znika oczywiście całkowicie z

niemieckiej geografii szkolnej, wspomina się tylko o tzw. generalnym gubernatorstwie jako „Nebenlandzie“ Rzeszy. Liczy ono 17 milionów mieszkańców, „przeważnie Polaków“, są jednak w tej liczbie „liczni Żydzi tudzież Niemcy, Ukraińcy, Górale i Łemkowie“. O istnieniu Polaków nad Wartą nie mówi się w ogóle. Rzeka ta wraz z Wisłą występuje w tabeli wód niemieckich obok Dunaju i Renu. Kraków jednak nie pojawia się w analogicznej tabeli miast niemieckich, choć w tekstach mówi się wiele o jego germańskich założycielach. Przeważna część nawet geograficznych podręczników rozpisuje się na temat biednych Niemców, którzy w Polsce ponosili „najsroższą udrękę i najcięższe ofiary“. Wybiła jednak godzina ich wyzwolenia; „po rozpadnięciu się polskiego państwa“ Rzesza zużytkuje jego ziemie na wyżywienie własnego narodu.

Stosunek niemieckich podręczników szkolnych geografii do nas można by określić krótko w następujący sposób: Polska faktycznie nie istnieje, wspomina się ją tylko, gdy można rozwdzić się na temat dawniejszych zasług Niemców wobec niej lub gdy nadarza się sposobność do jej zohydzenia.

Gramatyki

Można by przypuszczać, że autorowie czytanych podręczników historycznych i geograficznych nie mogli po prostu przejść do porządku nad Polską a pod presją partii musieli o niej pisać ujemnie. Można było jednak zrobić to z szacunkiem dla pokonanego przeciwnika, gdy tymczasem z ich zdań bije zawsze namiętna nienawiść. Dowodem tego są podręczniki innej kategorii, które mogły bez najmniejszej szkody pominąć sprawy polskie. Mam na myśli gramatyki.

Przykłady, niezbędne dla zilustrowania suchych reguł, są wzorem aktualizacji. Tematu dostarczają führer i jego

paladynowie Goebbels i Göring, H. J., różne sprawy hitlerowskie. (Jeden z podręczników gramatycznych propaguje nawet raz po raz rozrodecość, wysławiając szczęście, jakie daje liczna rodzina!). Można by się serdecznie śmiać z tej wszechstronnej propagandy, gdyby nie poruszała spraw polskich, nie rzadko w najgorszym demagogicznym tonie. Dzieje się to częściej lub rzadziej, zależnie od tego, czy gramatyka miała służyć szkołom Rzeszy, czy też „krajowi nad Wartą“ względnie tzw. gubernatorstwu; w ostatnim wypadku mowa o nas przeciętnie co trzy lub cztery strony. Hopff-Düsenberg np. („Meine Muttersprache“, II, str. 98) przytacza dla zilustrowania gatunków stylu urywek z jakiegoś czasopisma, opisujący żaglowy okręt szkolny „Pilsudski“(?): „Kad'ub jego sterczy jak skamieniałe widmo w zatoce sztokholmskiej, odgrywając rolę symbolu państwa polskiego. Na okręcie powiewa „dawniejszy sztandar wojenny“, „krwawa szmata (Fetzen)“, zwracająca się z grymasem w stronę Anglii, za którą „wolno było“ zalodze umierać. Podręczniki gramatyczne dla „kraju nad Wartą“ i tzw. gubernatorstwa mają swoje obłcze, jeśli chłdzi o przykłady „polskie“. Niewiele w nich historii, mało też obelg, za to bardzo dosadnych. Autorem chodzi głównie o to, aby dziecko nauczyło się uważać świeżo podbity kraj za swoją niemiecką ojczyznę. Młodzież miała się zainteresować naszym krajem i poznać każdy szczegół, aby się czuła tu jak u siebie w domu. Reszta natomiast przykładów gramatycznych lub raczej propagandowych miała charakter poniekąd profilaktyczny, zohydzała nas po to, aby nikt z młodych nie poczuł przypadkiem sympatii do nas.

Wnioski

Sumujmy wyniki. Pomogą nam w tym dwie grupy symptomatycznych

przykładów. Seydlitz „Erdkunde für höhere Schulen“, część druga, 1940, umieszcza tabelę handlu zagranicznego Niemiec z roku 1937 — Polski w niej brak. W doskonałym i ściśle naukowym „Handwörterbuch des deutschen Aberglaubens“, pod „Weltkrieg-Weissagungen“, w zeszycie wydanym w 1938 r. częste są wzmianki o Polsce, w ostatnim natomiast tomie tego dzieła z 1942 roku słowo „Polska“ znikło nawet z bardzo dokładnego rejestru do całego dzieła! Polski nie ma, to jedna teza. Są jednak jeszcze Polacy. Jak się do nich odnosić, na to zwiezła odpowiedź daje niemiecka sztuka. Czasopismo „Die Kunst im deutschen Reich“, rocznik 1942, zawiera reprodukcję „monumentalnych plaskorzeźb“ Arno Brekera. Jedną z nich przedstawia „Zniszczenie“ lub raczej „Niszczyciela“. Zwycięski rycerz nie tylko gotuje swym wzniesionym mieczem ostatni cios po-

walonemu już wrogowi, któremu pozostał w ręku jeszcze tylko ułamek strażackiego oręża, lecz na domiar z rumaka depce nogą bezbronnego przeciwnika. Powalić i podeptać — to drugie hasło, jakim niemiecka szkoła karmiła młodzież.

Trudno więc będzie wybić jej z głowy wszystkie te nauki i przykazania, wszystkie lapidarne sentencje führera i fanatyczną wiarę w niego. Jeśli głos całego świata nie przekona zhitleryzowanej młodzieży, że Niemcy słusznie przegrali wojnę, niech to zrobi sam führer swym zdaniem: „W tej wojnie nareszcie nie szczęście odniesie zwycięstwo, lecz prawo“. Czy tego apodyktycznego zdania nie warto by wydrukować na pierwszej stronie niemieckich czytanek, tam, gdzie do niedawna stała tak często nienawistna „Pieśń Niemców w Polsce“?

Jan Berger

Z WROCŁAWSKICH POLONIKÓW ARCHITEKTONICZNYCH

(Kościół św. Wojciecha ze swymi kaplicami)

Przy zbiegu ul. Św. Katarzyny i Pl. Dominikańskiego we Wrocławiu stoi przepiękny w swych strzelistych formach gotyckich kościół św. Wojciecha, który zasługuje na baczniejszą naszą uwagę jako dawna ostoja polskości w tym mieście. O ile swego czasu na tym miejscu mogłem stwierdzić, że kościół św. Doroty wyszedł z działań wojennych prawie bez szwanku (o czym dane mi było przekonać się naocznie przed niedawnym czasem), to muszę tu z żalem zanotować, że świątynia pod wezwaniem św. Wojciecha niestety zniszczona została w jakichś 80 procentach. Stoją wprawdzie jeszcze jej mury, mało nadwątłona jest wysmukła wieża, niewiele ucierpiał wydlużone kaplice boczne części chórowej razem z interesującą przez gotyckie malowidła ściennie kaplicą chrzcielnią i jakby cudem ocalała

z pogromu przepiękna kaplica bł. Czesława, ale wskutek zdruzgotania pociskami dachów nad nawą główną i transeptami właściwego kościoła oraz przylegającej do niego po stronie północnej kaplicy św. Józefa z urządzenia wewnętrznego tych części nie pozostało na miejscu już zgola nic. Nie znaczy to wszakże, ażeby nie warto już pomyśleć o odbudowie tego w swoim rodzaju wspaniałego przybytku Bożego, z którym związane są tak ściśle, jak się o tym przekonać będziemy mogli, dzieje polskości stolicy śląskiej.

Kościół św. Wojciecha to gotycka budowla ceglana, jednonawowa o nawach poprzecznych i niezwykle wydłużonym, wielobocznie zakończonym chórze kapłańskim, któremu towarzyszą po obu bokach także niezmiernie długie, niskie kaplice. Strzelistość świąty-